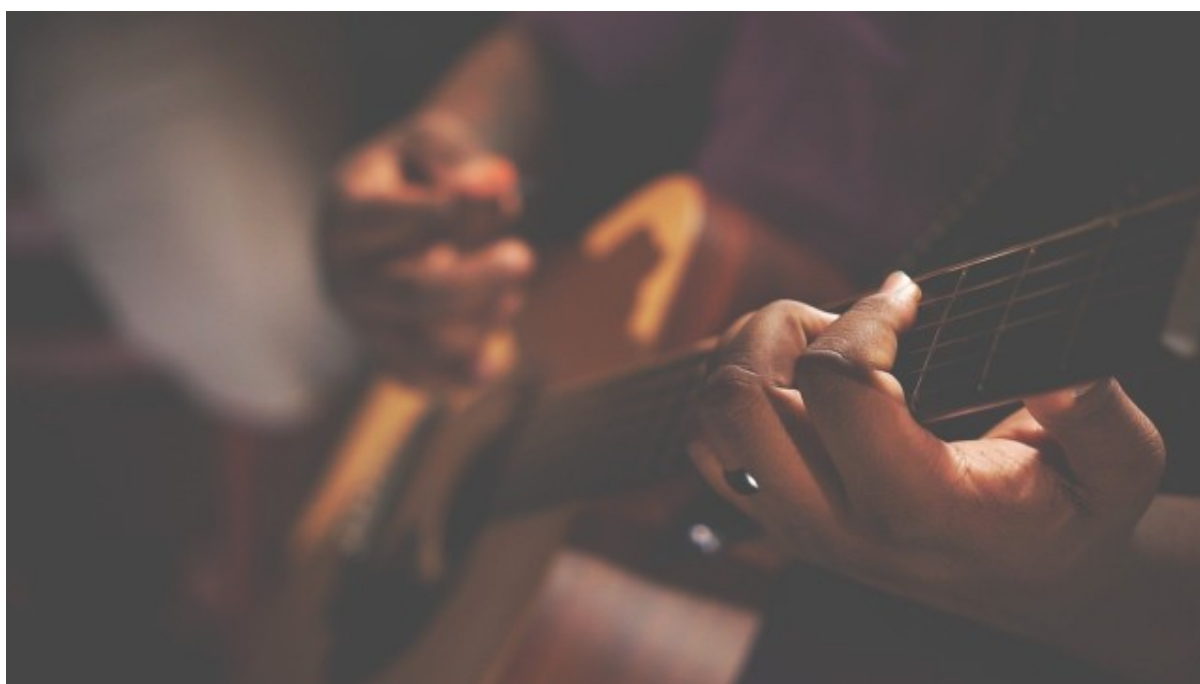


Opowieści nie tylko o śmierci. Pieśń o niezakończonych wojnie



Krzysztof Maria Załuski



Zatrzymywała się przed nim parę razy. Widział ją, jak przed wejściem do sklepu muzycznego przegląda rozsypane w metalowych koszach okładki płyt kompaktowych i, jak co jakiś czas odwraca głowę w jego kierunku. Kiedy ich wzrok krzyżował się, dziewczyna natychmiast wracała do kolorowych opakowań.

Była inna niż te wszystkie młode i stare kobiety, które przechodziły obok niego zupełnie obojętnie. Takie przynajmniej miał wrażenie, patrząc na jej długie, jasne włosy, opadające na spraną jeansową bluzę. Przez moment przyszło mu nawet do głowy, że to Rosjanka. Giennadij oparł gitarę o słup oblepiony strzępami ogłoszeń i zapalił papierosa. Potem pochylił się nad kapeluszem i próbował policzyć pieniądze. Zastanawiał się czy wystarczy mu już na pistolet do insuliny dla chorej na cukrzycę córeczki. I wtedy usłyszał nad sobą niski kobiecy głos.

– Co to było? – zapytała rzucając mu dwa euro.

Zrozumiał ją, ale nie mógł się przemóc, żeby odpowiedzieć. Jego usta, język, struny głosowe i krtań odmawiały posłuszeństwa, w żaden sposób nie dawały się zmusić, by wydać z siebie jakikolwiek dźwięk w tym znieprawionym języku. Pozostawał mu uśmiech, bezsilny uśmiech niewolnika.

Dawniej, ilekroć słyshał Niemców, przypominały mu się opowieści babki i ojca. I natychmiast widział żołnierzy Wehrmachtu, którzy jednym uderzeniem głowy o ścianę zabijali rosyjskie dzieci. Albo strzelali do kobiet i starców, uciekających z płonących stodół. Pamiętał, że w tych opowieściach najbardziej przerażało go to, że tymi żołnierzami byli normalni Niemcy, zwyczajni stolarze z Hamburga, piekarze z Lipska, mleczarze z Monachium... Wiedział, że teraz musi zapomnieć o tych wszystkich okropieństwach. Musi w przeciwnym razie zwariuje zanim uzbiera pieniądze na kurację dla Tamary.

– Co to za muzyka, co ty graeś? – pytała dziewczyna.

– Okudżawa. A eto na kance, Biczewskaja – odpowiedział.

– Jesteś Rosjaninem? Prawdziwym Rosjaninem? – zaśmiała się.

Giennadij patrzył na jej duże białe zęby, na wąskie usta i niebieskie oczy. Szukał w pamięci niemiecko brzmiących słów, czegoś, co mogłoby pasować do pytania, które zadała mu dziewczyna.

– Niet, ja russkij Jewriej, Jude – powiedział, a potem powtórzył raz jeszcze „Jude” i przeciągnął brzegiem dłoni po szyi.

*

Szli wzdłuż rzeki. Minęli park, w którym parę miesięcy temu jeden z nich zgwałcił małą Cyganke. Pokazywał teraz kumplom tamte krzaki, a potem złapał się oburącz za genitalia i zaczął poruszać biodrami naśladując kopulację.

– Mówię wam, suka chciała mi odgryźć małego. Musiałem jej wybić zęby... – rechotał.

– Trzeba ją było zajebać, dosyć tego syfu tu najechało – powiedział najmłodszy z nich.

Za mostem skręcili w stronę centralnego deptaku. Zatrzymali się przed „Aldim” i najstarszy z nich wszedł do środka, żeby kupić dwie butelki „Korna”. Potem zawrócili do parku.

*

Mógł mieć ze dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat, ale mógł też być dużo starszy.

Helga pomyślała, że czas w jakiś dziwny sposób ominął tą okrągłą twarz. Ominął przynajmniej jej powierzchnię, gładką i zaróżowioną jak u noworodka. Dopiero później zobaczyła jego czarne, ałtajskie oczy, żarzące się niepokojem, niczym węgiel w dogasającym nad ranem piecu.

– A eta był Władymir Wysockij, znajesz?

– Wy-soc-kij, zna-je-sz... – wysylabizowała posłusznie jak małe dziecko za matką, ale to egzotyczne słowo w jej ustach zabrzmiało zupełnie inaczej niż chciała. On jednak kiwnął głową, jakby wszystko było w porządku i zaczął śpiewać.

Helga nie znała rosyjskiego, a mimo to poczuła na plecach mrowienie, dreszcz i nieznaczne uderzenie krwi do głowy. Patrzyła jak prawa dłoń chłopaka potrąca rytmicznie struny i jak palce lewej zmieniają błyskawicznie akordy.

Chłopak śpiewał coraz głośniej. Po chwili już krzyczał, wyrzaskiwał z siebie coś, co musiało leżeć gdzieś na samym dnie jego duszy. Helga poczuła intuicyjnie, że to mógł być jedynie ból, jakaś straszliwa tęsknota, bezgraniczna rozpacz, której ani ona, ani nikt z ludzi, których znała nie potrafiłby sobie wyobrazić. Pomyślała, że być może jest to właśnie ta mroczna rosyjska dusza, o której czytała u Dostojewskiego... A potem przypomniała sobie te wszystkie akademickie dyskusje o poczuciu winy za tamtą wojnę, te strwonione na zajęciach godziny, które nigdy nie doprowadziły do żadnych wniosków, do żadnych sensownych konkluzji. Ale jak mogły doprowadzić, skoro nikt z nich nie tylko nie poczuwał się do moralnej współodpowiedzialności za śmierć dziesiątków milionów Rosjan, Żydów, Polaków czy

Romów, lecz nawet nie miał zielonego pojęcia o tej wojnie? Jak tamte dyskusje mogły do czegoś doprowadzić, skoro przez całe dziesięciolecia uczono ich o uzbrojonych po zęby bolszewikach, którzy mieszkają za żelazną kurtyną i tylko czyhają, by zniszczyć ich świat dobrobytu, świat demokracji, świat prawa – ich umiłowaną Republikę Federalną.

– Ty, ruska świnię, nie smęć! Graj „Kalinkę” ... – usłyszała za sobą pijany rechot.

Giennadij skończył grać i zapytał dziewczynę po rosyjsku czy wie o czym śpiewał. Ona jednak nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się do niego przepraszająco, a potem z niepokojem popatrzyła za siebie, tak jakby w obawie, że właśnie stamtąd nadejdą wojenne upiory, te widziadła z innego czasu, duchy zagazowanych niewolników.

W tym samym momencie Giennadij pomyślał, że oni wszyscy tutaj, traktują go tak, jakby był skazanym na śmierć przybyszem z innego świata, albo w najlepszym razie rogatym monstrum, o którym nie bardzo wiadomo, czy należy się go jeszcze bać, czy może już można z niego drwić. Uśmiechnął się więc do niej i zaczął pakować gitarę do pokrowca. A wtedy dziewczyna złapała go za rękę i pomyślał, że chce by zagrał coś jeszcze specjalnie dla niej. Tłum płynął deptakiem nieprzerwanie, jak rzeka, albo jak tajga za oknem transsyberyjskiego pociągu. Giennadij widział przesuających się ludzi, młodych i starych, zgarbionych i wyprostowanych, wysokich i niskich, i pomyślał, że oni naprawdę wszyscy są jak drzewa, jak las bez końca i bez początku. A potem pomyślał jeszcze, że rzeczywiście niczym nie różnią się od mieszkańców Irkucka, Nowosybirsk czy Swierdłowska. I wtedy zrobiło mu się nieswojo, bo być może ta wojna, ta przeklęta Ojczyzniana Wojna, o której śpiewał, już dawno się skończyła. Lecz jednocześnie zrobiło mu się smutno, bo to było jak koniec okrutnej baśni, której już nie da się powtórzyć. A on przecież chciał opowiedzieć tej dziewczynie o tym wszystkim, co czuje. Ale zaraz pomyślał, że ona i tak niczego nie zrozumie, że nie zrozumiałaby go nawet, gdyby znał jej język, bo do tego, żeby zrozumieć, co teraz czuł, potrzebne jest coś więcej niż znajomość kilku słów. A zresztą nie przyjechał tutaj po to, żeby komukolwiek cokolwiek tłumaczyć.

Policjanci poprosili ją, żeby opowiedziała im wszystko od początku.

– Było już ciemno i nie widziałam ilu ich było. Trzech, może pięciu ogolonych na pałę gnojników, takich, jakich pełno po wschodniej stronie... Najpierw go zaczepiali, obrażali, ale on nie reagował. Chyba niczego nie rozumiał... – płakała. – Jeden z nich odepchnął mnie, kiedy powiedziałam im, żeby zjeżdżali. A potem, kiedy wołałam o pomoc, zakryli mi twarz ręką i zaczęli go kopać. Wskakiwali na niego jak na oponę. Jakby go chcieli wdeptać w ziemię. Helga klęczała. Gładziła ciemne, skręcone włosy Giennadija. Nie mogła uwierzyć w to, co się przed chwilą stało. Jeden z policjantów oglądał pomięty rosyjski paszport. Drugi palił papierosa i ziewał. Ludzie spieszyli się do domów. Nie widzieli ani krwi, ani przykrytego kurtką ciała.

Źródło:

Dziennik Bałtycki